

Kronika tygodniowa.

Przypominają sobie czytelnicy, że przed tygodniem na tem samem miejscu udzieliłem pochwały urzędnikom ze „Związku ekonomicznego“ za to, że postanowili mieć własną wolę i przy wyborach do Rady miasta stanąć na gruncie bezpartyjnym. Nam (mówili bardzo rozsądnie) nie trzeba w radzie polityków, ale dobrych gospodarzy. Więc zaprosili przedstawicieli rozmaitych dykasteryi i utworzyli wielki komitet, który miał radzić nad tem, komu mandaty powierzyć z kuryi inteligencji. Ogromny strach padł na dotychczasowych tej kuryi arendarzy, przywłaszczających sobie nazwę przedstawicieli polskiej demokracji. Panowie ci nigdy nie troszczyli się o wolę wyborców, nigdy ich o zdanie nie pytali, a tylko zbierali się w kilkunastu (licząc już w to „polską“ demokrację z Kazimierza), układali listę kandydatów, z uwzględnieniem przede wszystkim samych siebie, i kazali tak zwanej inteligencji na tę listę głosować. A inteligentna inteligencja ten rozkaz potulnie spełniała. Więc też „bunt“ obecny zadziwił i przestraszył. Wytoczono na buntowników dziennikarskie działa *N. Reformy* i posłano na zebranie urzędników oddział lekkiej kawalerii, pod wodzą prof. Wasunga, aby nauczył buntowników rozumu. Zarządzenia te jednak nie przyniosły rebelantom żadnej szkody. Natomiast rebellanci sami sobie zaszkodzili, bo walcząc przeciw stronnictwom w radzie miejskiej, wysunęli na pierwszy plan kastowość. W chwili kiedy panuje ogólne dążenie do zniesienia kuryi, członkowie komitetu urzędniczego chcieli jeszcze z kuryi inteligencji wyodrębnić kuryę urzędniczą. Postanowili stworzyć w radzie klub urzędniczy i wybierać z łona inteligencji samych urzędników. Doprowadzili wreszcie do tej śmieszności, że mieli wybierać nie najlepszych z pośród siebie, nie najlepiej ukwalifikowanych na gospodarzy miasta, ale każdej dykasteryi urzędniczej postanowili przyznać po mandacie. Zapomnieli zupełnie, że należą do inteligencji, że ta inteligencja składa się zarówno z lekarzy jak urzędników podatkowych, adwokatów, jak urzędników kolejowych, inżynierów jak sędziów i t. d., i że z pośród niej należy wybrać najodpowiedniejszych obywateli, bez względu na to, czy leczą na wodną puchlinę, czy sądzą lub bronią złodziei, czy łupią ludzi ze skóry podatkami, czy piszą artykuły lub recepty, czy uczą łaciny lub służby kolejowej, czy budują kamienice lub wystawiają police. Takie zaściankowe postawienie sprawy, taka chęć wprowadzenia rozdziału między inteligencją urzędniczą a wolnych zawodów, taki wybryk kastowości w społeczeństwie, którego obowiązkiem jest zacieranie szkodliwych różnic kastowych, musiano przyjąć niesympatycznie w tych sferach urzędniczych, które szerzej pojmują prawo obywatelskie, przyznające im udział w wyborach do rady miejskiej.

Komitet urzędniczy poczuł, że szanse jego są niepewne. Jak naprzód t. zw. demokratów, tak teraz i jego z kolei ogarnęła trwoga, zwłaszcza że demokraci mają żydów za sobą. I wyszło szydło z worka: pokazało się, że panom inicjatorom szło głównie o to, aby sami weszli do rady. Nastąpił kompromis... zasad. Komitet demokratyczny wspólnie z komitetem urzędniczym układa listę, wejdzie do rady część tych, co nie chcieli opuszczać żłobu i część tych, co do niego dostać się pragnęli. Demokraci już się nie gorszą kastowością, pozwalają urzędnikom „związkowym“ utworzyć w radzie klub urzędniczy; a panowie związkowi już nie głoszą bezpartyjności, pozwalają swym członkom należeć do stronnictwa demokratycznego. Bo ani jednym ani drugim o rzecz nie chodziło, tylko o osoby. Zasady wyrzucono za drzwi: posady stały się wspólnym ideałem. Odegrano jedną więcej farsę polityczną, po której pozostał... smrodzik. Nic dziwnego: nasza miejska polityka, to jedna wielka farsa, która zawsze nie pachnie.

Nie na farsę wprawdzie, ale na komedię wygląda sprawa mundurów w szkołach średnich. Kiedy je zaprowadzono, ciała nauczycielskie i „rodzicielskie“ prawie jak „jeden mąż“ witały z entuzjazmem tę akcję ochronną. Młodzież w mundurach, mówiono, będzie włościła się po szynkach i knajpach, co więcej mundury te zaprowadzą równość między młodzieżą: czy hrabicz, czy syn robotnika, będą jednakowo wyglądali, pierwszy nie będzie imponował eleganckim ubiorem, drugi nie będzie się wstydził wytartego surduta i łatanych inexprimabli. Ale do świadczenia rozwiła te marzenia i dziś też same

„ciała“ nauczycielskie i rodzicielskie są zdania, że tylko ziemniaki są dobre w mundurach. Bo mundury nie krępują młodzieży, owszem popisuje się w nich nieraz swą „dojrzałością“, zaczepiając kobiety i podlotki, puszczając na ulicy dym z papierosów w nos „starszych“, odwiedzając szynki i inne „instytucje“ publiczne, nie wyłączając tych, co noszą nazwę „zakładów publicznych“. A i owa równość pokazała się w praktyce złudzeniem. Biedak chodzi w wyszarzanej kurtce, z małymi paskami na niskim kołnierzu, a „jaśni panowie“ noszą eleganckie mundurki z półmetrowym kołnierzem, z grubymi na palec galonkami, w czapkach w kształcie wysokiego skopka; każdy z nich wygląda jeżeli nie na pułkownika, to przynajmniej na „oberleutnanta“. A więc brzmi teraz hasło: precz z mundurkami! Nie stając w ich obronie, godzi się jednak zapytać: co mogą zyskać obyczaje młodzieży na zniesieniu mundurków? Nie krępują dostatecznie, to prawda, ale ubranie „cywilne“ jeszcze mniej krępować będzie. A co do „równości“, to byłaby na nią rada: pilnować ściśle oznaczonych form ubrania, jak jest w wojsku.

A kiedy wspominałem już o farsie i komedii, to i dramatowi miejsce się w kronice należy. A czyż może być większy dramat, jak pozbawienie kobiet prawa głosu przy wyborach do parlamentu, sejmu i gminy? Mają one w swych główkach, czy też (jak kto woli) na swych języczkach, tyle projektów uszczęśliwienia ludzkości, a tu ani rusz! — tyrani zamykają przed niemi drzwi przybytków wymowy. Otóż, ażeby owe podwoje otworzyć, 19 marca odbyły się pod protektorem czerwonego sztandaru wiece i pochody w różnych miastach Austrii. A ponieważ jeden duch ożywia wszystkie ludy austriackie, więc też Lwów i Kraków, jako czysto austriackie miasta, poszły za rozkazem swej metropolii, Wiednia. Zdaje się, że dzień 19 marca został wybrany do tej manifestacji jako dzień patrona małżeństw, instytucji wprawdzie już przestarzałej, ale i przez mniej uświadomione socjalistki mile dotychczas widzianej. Przypuszczam nawet, że każda prawie socjalistka, mając prawo wyboru między otrzymaniem męża a prawą wyboru, wolałaby nabycie praw żony, niż praw wyborczych.

Po tej nawiasowej uwadze powracam do 19 marca w Krakowie. Co mówiono na wiecu, doniosły dzienniki; z tego samego źródła dowiedzieli się już czytelnicy, że reprezentacja płci pięknej, z postem Daszyńskim na czele (pfe! mężczyzna) była u p. prezydenta, że wreszcie biedny Mickiewicz musiał wysłuchać jeszcze kilku przemówień. Kronikarz doda od siebie, że z owego tysiąca kobiet („tysiąc walecznych“), jakie miały postępować w pochodzie, można było przekonać się, że prawa wyboru najwięcej domagają się „kobiety“, liczące od 8 do 16 lat życia, takie bowiem przeważnie brały udział w tym spacerze. Nie można również zamilczeć, że kandydatki na posłów i rajców nie odznaczały się urodą — zaledwie mały ich procent zadowolonyby przeciętne wymagania płci brzydkiej. Ze od tej manifestacji zupełnie się prawie odsunęły sufrażystki ze sfer inteligentnych, przyczyna tkwi zapewne w formie samej manifestacji i w jej aranżerach. Jak było we Lwowie, nie wiem, ale jeżeli się zważy, że w tym grodzie (cytuje telegram) „obradę zagaiła pani dr. Reizes, przewodniczącą wybrano panią dr. Perlmutter, referat wygłosiła p. dr. Gumpłowiczowa, imieniem ruskich kobiet p. Ogrodnikowa, a do rezolucyi przyłączyły się: reprezentantka akademickiej Ligi wolnej miłości (tak stoi w telegramie *Gazety Niedziatkowej*), reprezentantka studentek postępowych i reprezentantka żydowskich robotnic, p. Arnoldówna“ — jeżeli to się zważy, to jedynie dziwić się należy, iż w tak doboranym towarzystwie mogła się znaleźć przedstawicielka studentek Polek (!) p. Markiewiczówna.

Kronikarz zastrzega się, aby go nie uważano za zdecydowanego przeciwnika praw wyborczych kobiet. Może większy pożytek byłby n. p. w Kole polskiem z pań: Paduchowej, Szajerowej, Szponderowej (co prawda, nie wiem, czy dwie pierwsze istnieją, a ostatniej niema na pewno), niż z pp. Paducha, Szajera Szpondra i wielu innych. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że między Krakowiankami znalazłbym lepszych radców miejskich, niż wielu z tych, co w radzie siedzą lub siedzieć będą. Ale, o ile szczerze radbym, aby przyznać kobietom pewne prawa wyborcze, a przede wszystkim usunąć ich głosowanie przez zastępstwo, co nietylko im ubliża ale i szerzy korupcję, to z drugiej strony takie pochody uliczne są raczej ośmieszeniem, niż poparciem samej sprawy.

Wspomniałem nazwisko p. Paducha. Nie żał mi, że go usunięto z Koła polskiego, ale żał, że usunięto go tylko jednego. Przy sposobności procesu, który z jego powodu toczy się w Tarnobrzegu, wy-

szło na jaw, że istnieje cała falanga prywatnych sekretarzy. Sekretarzem p. Paducha był p. Dębiński, sekretarzem p. Stapińskiego jest p. Mojżesz Kanarek, sekretarzem p. Mojżesza Kanarka jest p. Łęcki. A to się rozbiła szkuta z sekretarzami! Nie wiadomo tylko, kto jest sekretarzem p. Łęckiego i kto jest sekretarzem p. Dębińskiego. Największym t. j. raczej najgłośniejszym jest p. sekretarz Kanarek, członek rodziny, która wyposaża swymi ablegerami wszystkie stronnictwa. Jest to bowiem zasadą wielkich rodzin, że na wszelki wypadek do każdego stronnictwa przeznaczają jednego ze swych członków. Otóż p. Mojżesz Kanarek jest ludowcem, p. Rachmiel Kanarek (imienia dzienniki nie podały) wystąpił jako krakowski demokrat. Na tę rozwijającą się kulturę kanarków w Galicyi zwracam uwagę syndykatu rolniczego.

A w tym syndykacie, sławnym z wzajemnych wyrzucania, nastał spokój. Było jego walne zebranie, ale co na niem mówiono, to pozostanie tajemnicą, bo nowy dyrektor p. Scipio (nazywają go hrabią, choć nie figuruje w żadnym almanachu rodzin hrabiowskich) uznał za stosowne wyrzucić z sali sprawozdawców dziennikarskich. Do wiadomości publicznej doszło tylko, że wyrzuconego przez radę nadzorczą i sąd dyrektora Prażmowskiego, na nowo wrzucono do dyrekcyi, poczem on sam się wyrzucił. Z tego wniosek, że wyrzucenie jego nie było sprawą idealnie czystą. Trudno się też powstrzymać od stwierdzenia faktu, że syndykat przyłączył się do Związku Kółek rolniczych, założonego i dobrze prowadzonego przez p. Prażmowskiego i że pierwszym widomym skutkiem tego połączenia było usunięcie długoletniego dyrektora. Obecnie jest nim p. Karol Scipio, ów pogromca dziennikarzy, znany z tego, że piastował conajmniej dwa tuziny dyrektorstw wszelkiego rodzaju i to... bez powodzenia. Oby ta „wymiana mózgów“ nie wyszła na szkodę syndykatomu.

Po tych cieniach nieco światła. Wspomniałem już w jednej z poprzednich kronik o zapisie 250 tysięcy rubli przez p. Roeslerową na cele oświatowe i o takiej samej sumie, zapisanej przez p. Bothową na różne publiczne instytucje. Do tych ofiar mieszczanek warszawskich przybyła ofiara koło 100 tysięcy koron, złożona przez mieszkankę lwowską p. Wojciechowską. Świeżo doniosły dzienniki o postanowień s. p. Sądowskiego, który koło 300 tysięcy rubli oddał na dobro ogólne. A do tych mieszczanek i tego szlachcica przybywa ofiarny polski włościanin Jan Chmielowski, chłop ze Sierpca w Królestwie Polskiem. Zapisał on 250 tysięcy t. j. połowę swego majątku na szkołę, dom ludowy i ochronkę. A nie był to „chłop uczony“, przeciwnie był to... analfabeta. Ale miał serce „uczone“ w miłości oświaty i dobra ludu. Więc położony na wieńcu u jego trumny napis: „Czcigodnemu obywatelowi“ był wyjątkowo prawdziwy i zasłużony.

DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY

B. WIERZEJSKI

Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej. Tel. 0368.

POLECA:

WIOSENNE PŁASZCZE ANGIELSKIE
KAPELUSZE i CZAPKI.

Świeży transport na sezon 1911! Wybór wielki!

MAGAZYN GOTOWYCH UBRANŃ MĘSKICH

„SZATNIA“

(Spółka z ogr. odpowiedzialnością)

w Krakowie, Sławkowska 14 (vis à vis Grand Hotelu)

poleca:

Bogaty wybór palt angielskich, zarzutek i ubrań marynarkowych, żakietowych i anglezowych.

Leczenie epilepsyi! Minęły już dwa lata, jak moja córka Pański „Epilepticon“ używała i w przeciągu tego czasu nie miała żadnego napadu; dziękuję Panu serdecznie za to, gdyż piórem nie zdołam opisać mej radości, odkąd moja córka wyzdrowiała. Także i cztery inne osoby wskutek mego polecenia tegoż środka epileptycznego zostały wyleczone.
Z poważaniem J. W.

Do nabycia w aptekach. Główny skład i wydawanie bezpłatnych próbek w aptece Fort. Gralewskiego, Kraków 109.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter